

Grzyby w uprząży, czyli weekend wyciśnięty do cna

Tekst napisałem prawdopodobnie krótko po powrocie z tego wypadu, czyli jakoś w październiku 2019 roku. Jednak natknąłem się na niego dopiero teraz i dopiero w grudniu 2020 zamieszczam go na stronie.

Od siebie

Podejmowanie się aktywności przychodzi mi łatwo, ale nie jest to też tak, że chce się zawsze i wszystko. Jak każdy, ciągle potrzebuję motywacji i najlepiej kiedy jest to ta motywacja, która pochodzi z wewnątrz. Ale nie tylko, bo jak każdego motywują mnie też pozytywne i zachęcające słowa od osób trzecich. Pewnie, że w góry chodziłbym nawet, gdyby nikt tego nie pochwalał, albo gdyby – co gorsza – wszyscy mieli to gdzieś. Ale czuję, że jest w tym coś więcej, kiedy słyszę, że to co robię kogoś inspiruje, albo, że przynajmniej wydaje się dla niego interesujące.

Co jeszcze mnie motywuje? Zdrowie, a właściwie każdy sygnał o jego braku. Bołący kręgosłup lub noga powoduje, że chcę więcej ćwiczyć. Podobnie jak wszelkie problemy w strefie duchowej, psychicznej: ruch i góry leczą mnie absolutnie ze wszystkiego. To, co dla jednych bywa wymówką, dla mnie jest siłą napędową do działania.

Czego się wystrzegam? Nudy i marazmu. Nie wszystko nas musi kręcić, ale absolutnie ze wszystkiego można wynieść jakieś nauki, jakieś wnioski. Ważne, żeby być tu i teraz, całym sobą. I wtedy z wycieczki na Borową możesz wynieść takie emocje, jakby się właśnie wysoki alpejski szczyt zdobyło.

A jak może wyglądać niezwykły zwykły weekend? Krótki pamiętnikowy wpis poniżej. Rzeczy działy się 28 i 29 września 2019 roku.



Sobota poranek – szybki marsz



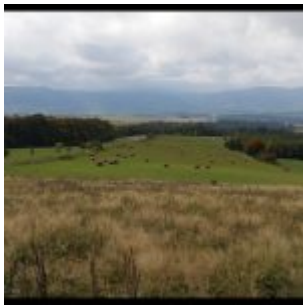
Sobota poranek – szybki marsz



Sobota przed południem – wspinaczka



Sobota koło południa – grzybobranie



Sobota popołudnie – przez pole do Międzygórza i z powrotem



Niedziela przed południem – w drodze na Czarną Górę



Niedziela południe – wracamy z Czarnej Góry



Niedziela popołudnie – jesteśmy pod Biskupią Kopą



Niedziela popołudnie – buty odzyskane

Marsz

Przed 7 rano jestem na szlaku. Wchodzę z Marianówki na Igliczną, schodzę do Międzygórza i wracam innym szlakiem, by była pętelka. Rezultat: 10km w 1h46', a było to możliwe dzięki temu, że w nocy przeprowadzony został sumienny proces aklimatyzacji, której skutki odczuwałem jeszcze rano (wyjazd integracyjny z ludźmi z pracy). Podobnie jak pod Szczelińcem i tym razem dobrze znana ekipa zadbała o to, żebym nie wyszedł na szlak niezaaklimatyzowany. Na wszelki wypadek całość przeszedłem na czczo.

Skałki

Po śniadaniu podjeżdża Aga i idziemy się powspinać. Prowadzimy po 2 drogi, ale jakoś na więcej nie mamy sprzęta, więc Aga wpada na pomysł, by pozbierać...

Grzyby

Pierwszy raz zbieram grzyby w kasku i uprząży obwieszanej szpejem. Aga szaleje, co chwilę schyla się po zdobycz, na koniec znajduje grzyby mutanty.

Wycieczka

Kiedy wracam do ośrodka ekipa jest jeszcze w Międzygórzu, więc proszę małżonkę, żeby mnie podwiozła. Asertywnie mi odmawia życzliwie wskazując jakąś drogę w pole: „zajdziesz tam niewiele później, niż ja zajadę” – tako żekła. Pokonuję zatem

pieszo te 3 i pół kilometra i szukam knajpy, z której będą dochodziły najgłośniejsze, najdziwniejsze, ale i najweselsze odgłosy. Potem posiłek regeneracyjny i całą grupą wracamy piechotą do ośrodka. Wieczorem przebiega dalszy proces aklimatyzacji przygotowujący do jutrzejszego ataku szczytowego.

Czarna Góra

Rano zabiera mnie Mamowóz i jedziemy z dziećmi na Przeł. Puchaczówkę. Stąd, głównie piechotą, częściowo na rękach a czasem w wózku podchodzimy z Ma (rocznik 2017) i Mi (rocznik 2016) zboczem Czarnej Góry. Podczas wejścia spotykamy wielu życzliwych ludzi, od których moje dziecko słyszy „dasz radę!”. Ale mijają nas też bardzo depresyjna grupa, która pomimo prób obrony siebie w nas tekstami, że nie wejdziemy, że tam wyżej jest gorzej, że są kamienie i korzenie, że nie mamy szans i to się nie uda choćby nie wiem co... Zważyłem, ale nie w nasze możliwości, lecz w ludzi. Chwilę otrząsamy się po tym spotkaniu i w dobrych humorach zdobywamy we czwórkę szczyt o wysokości 1205 m n.p.m. Na szczycie mocno wieje, trochę też pokropiło. Misiek choć trzyma się świetnie, to jednak nieco pęka i pyta mnie, dlaczego jego kuzynka leży teraz na leżaku nad basenem w Turcji, w 30 stopniach ciepła, a on chodzi po kamieniach i patykach, które są w dodatku brudne. No cóż synu, nikt nigdy nie mówił, że z takimi rodzicami będzie łatwo.

Góry Opawskie

Po obiedzie wpadamy jeszcze do Nysy do drugiej babci. Przypominam sobie tutaj, że kolega ostatnio zostawił buty w schronisku pod Biskupią Kopą. Podjeżdżamy z Agą do Jarnołtówka i pędzimy na górę. Po kilku minutach widzimy tabliczkę: Schronisko 1h 30min. Nie może być o tym mowy – mamy co najwyżej godzinę na całość. Po 33 minutach jesteśmy na miejscu; zgarniam buty, kupuję batonika i po chwili pędzimy na dół. Tam, gdzie zaczyna się łagodniejszy teren zaczynamy biec i szybko meldujemy się przy aucie. Całość (6,6km) zajmuje nam

59 minut.

Powrót

Po odebraniu dzieci udajemy się w kierunku domu. Docieramy do niego dopiero koło 22:30. Z domu wyszedłem w piątek rano. Co za weekend!

Z dziećmi pod namiot – krótki poradnik

Środek nocy – jest ciemno, zimno i mokro – z namiotu wychodzi Mysia (2,5 l), siada na nocnik, rozgląda się i wesoło woła: „O! Nie pada!”

Zasada nr 1 – za wiele się nie zastanawiać

Decyzja o wyjeździe pod namiot była spontaniczna. Zaczęło się od tego, że przyjaciele przesłali nam zdjęcie ich niespełna 3-letniego maluszka, z którym zdecydowali się spędzić biwak w naturze. Decyzja zapadła niemal natychmiast. Tydzień później zaparkowaliśmy na kempingu [Kotarz w Brennej](#).

Do tej pory polskie kempingi kojarzyły mi się z traumą i złotem troglodytów, którzy od razu po przyjeździe otwierają browara a następnie drzwi od auta, by lepiej było słyszeć jakąś podłą muzykę albo popularne stacje radiowe, w których prowadzący albo są idiotami albo mają słuchaczy za idiotów.

Dlaczego zatem ryzykując kolejną traumę postawiłem na Kotarz? Urzekła mnie czerwona czcionka, jaką zostały spisane zasady korzystania z ich usług. Urzekły mnie też same zasady. I nie pomyliliśmy się – prowadzący kemping bracia Łukasz i Marcin

dbają o porządek. Już na ich stronie możemy przeczytać:

Bardzo zależy nam na tym, żeby pobyt na naszym kempingu odbywał się w spokojnej, rodzinnej atmosferze. Nie tolerujemy głośnych imprez, przekleństw, pijaństwa i tym podobnych zachowań.

Zasada nr 2 – angażować

Nie ukrywam, że stresowałem się przed tym wyjazdem jak nie wiem co. Jak przewidzieć reakcję dzieci (w wieku 2 i pół oraz 4 lata) na wywiezienie ich w obce miejsce i postawienie przed opcją spania na materacu w małym namiocie? Mogło się zdarzyć wszystko, a tymczasem przebieg wycieczki przerósł nasze najśmielsze oczekiwania. Już po dojechaniu na miejsce zaangażowaliśmy dzieci w rozpakowywanie auta, rozkładanie namiotu, stolika oraz pompowanie materaca.

Zasada nr 3 (najważniejsza) – wyluzować

Dzieci były pełnoprawnymi mieszkańcami kempingu i tak się też zachowywały. Wychodziły rano z namiotu i do wieczora biegały po okolicy. Ilości przewyższeń i kilometrów jakie robiły wprawiały mnie w osłupienie. Prawdopodobnie po czymś takim regenerowałbym się przez 3 dni i miał zakwasy. Stroma górka, strumyk, podjazd, korzeń, pień lub skarpa z ziemi – wszystko było dla nich placem zabaw. Dzieci w podobnym wieku zbierały się w grupy, ganiały, bawiły, biły, rozrabiały, zdzierały kolana i nabijały siniaki – wszystko to, co potem wspomina się jako najcudowniejsze chwile spędzonych wakacji. Nasza rola była w tym kluczowa: jedynie im **nie przeszkadzać**.

Kilka przemyśleń

Na te cudownie spędzone 4 dni na kempingu mogło mieć wpływ wiele rzeczy i niekoniecznie muszę sobie z nich zdawać sprawę. Podejrzewam jedynie, że pomogło obycie nasze, czyli rodziców z biwakowaniem. Samo to, że nie musimy „połować” na wodę, topić śniegu, że możemy się umyć pod bieżącą wodą albo umyć naczynia

– to wszystko powodowało, że zachowywaliśmy się jakby był to pobyt w największym komforcie. Dzieci musiały wyczuwać, że wszystko jest ok i brak prądu, łóżek oraz gotowanie i spożywanie posiłków pod chmurką jest czymś zupełnie naturalnym.

Dodatkową zaletą nie do przecenienia było towarzystwo przyjaciół z dziećmi w podobnym wieku. Ta czwórka od razu stworzyła bandę. Do spania zdecydowaliśmy się zabrać kołdry i poduszki bezpośrednio z ich łóżek i być może aklimatyzacja dzieci do spania w namiocie przebiegła właśnie dzięki temu (zaglądając do namiotu widziały znajomą pościel a nie obco wyglądające śpiwory).

Zupełnie obyliśmy się w tych dniach bez prądu i urządzeń typu tablet czy laptop i słusznie, bo przez te kilka dni żadne dziecko nic nie wspomniało o oglądaniu bajek.

Lista sprzętu

Nie wszystkie z tych rzeczy mieliśmy ze sobą, może też być coś innego, co ktoś uzna za niezbędne a tutaj tego nie ma. Jednak taka lista jest świetną bazą i myślę, że może się niejednemu przydać. Bez wątpienia my jeszcze nie raz z niej skorzystamy, więc w przyszłości może nieco ewoluować.

Co zabrać	Komentarz
Materac	Dmuchany
Kołdry i poduszki	Te same co dzieci używają w domu. Szerokie na tyle, że dziecko z dorosłym swobodnie się pod taką kołdrą mieszczą.
Prześcieradło	Z gumką na wymiar materaca. Warto mieć też zapasowe
Apteczka	Coś na ugryzienia komarów, termometr dla dzieci, coś przeciwgorączkowego, plastry na obtłuczone i zdarte kolana

Co zabrać	Komentarz
Parasol przeciwsłoneczny	Na lekki deszczyk też da radę. Najlepiej kompatybilny ze stolikiem
Stolik i krzesła/krzeselka	Najlepiej kompatybilny z parasolem. Małe krzeselka dla dzieci i duże dla nas
Parasolki na deszcz	Mogą być przydatne podczas przemieszczania się do sanitariatów w ulewie
Namiot	Na kempingach królują obecnie hangary z paroma sypialniami i dużymi przedsionkami, my jednak zgrabnie poradziliśmy sobie w wyprawowej czwórce, w której nawet dziecko nie mogło stanąć wyprostowane a w przedsionku mieściły się co najwyżej buty
Siekierka/młotek	Do wbijania szpilek od namiotu
Cerata na stół	Łatwiej zachować czystość oraz chroni stół przed deszczem
Koc piknikowy	Służy m.in. dzieciom do zabawy
Mata lub plandeka	Do wyściełania w przedsionku namiotu
Nosidełko dla dziecka	Na wędrowki
Plecaki i plecaczki dla dzieci	Na wędrowki
Zabawki, piłka, coś do piasku, coś do wody, pluszaki, lalki, kajaki, rowery, ponton, stroje kąpielowe, lornetka	Wedle uznania dzieci i w zależności gdzie jedziemy i co lubimy robić
Krem z filtrem na słońce	
Papier toaletowy	

Co zabrać	Komentarz
Kosmetyki	Mydło, szampon, pasta, szczoteczki itp.
Mokre chusteczki	Na wypadek "dnia dziecka", kiedy to tylko przemyjemy dziecku pupę przed spaniem
Środek przeciwko komarom i kleszczom	
Lusterko	
Ręczniki	Oprócz ręczników kąpielowych warto zabrać ręczniki szybkoschnące (na wypadek wilgotnej aury)
Patelnia, garnki, kubki, sztucce, talerze, noże, menażki z uchwytem	
Kuchenka do gotowania plus paliwo	Benzynowa, gazowa lub elektryczna
Świeczki	Robią klimat zapalone wieczorem na stoliku
Aparat fotograficzny	
Ładowarki	Awaryjnie przynajmniej samochodową ładowarkę do telefonu
Czołówki i/lub latarki	Warto, żeby każdy miał swoją
Lodówka przenośna	Nawet taki pojemnik na wkłady (bez zasilania) będzie na upalne dni lepszy niż nic
Ręczniki papierowe	
Płyn do mycia naczyń, gąbka i plastikowa miska	W plastikowej misce łatwiej przenieść brudne naczynia
Ściereczka, ręcznik kuchenny	
Folia aluminiowa	

Co zabrać	Komentarz
Grill	Jeśli ktoś lubi
Worki na śmieci	Polecam solidne, wiązane
Linka na pranie	Może się przydać nawet, gdy nie zamierzamy prać
Proszek do prania	
Butelki/bidony na wodę dla dzieci i dorosłych	
Ubrania	Na słońce i deszcz, na dzień i na noc, na zimno i na gorąco
Czapeczki na słońce	
Gumiaki dla dzieci	
Kłapki pod prysznic	
Zapałki, zapalniczka	Zapałki potrafią zwilgotnieć
Zmiotka	Brakowało mi jej gdy np. chciałem pozamiatać sypialnię namiotu
Zatyczki do uszu	
Kocyki lub koc	Miło się przykryć przesiadując wieczorem na leżaczku. Koc mógłby też służyć jako awaryjne docieplenie w nocy
Nocnik	
Parasol	Żeby pójść w deszczu do WC
Packa na muchy/komary/osy	

Korona Beneluksu i kolacja z

Księciem



Sobota poranek – szybki marsz



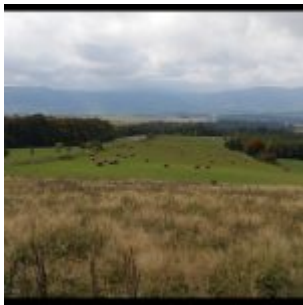
Sobota poranek – szybki marsz



Sobota przed południem – wspinaczka



Sobota koło południa – grzybobranie



Sobota popołudnie – przez pole do Międzygórza i z powrotem



Niedziela przed południem – w drodze na Czarną Górę



Niedziela południe – wracamy z Czarnej Góry



Niedziela popołudnie – jesteśmy pod Biskupią Kopą



Niedziela popołudnie – buty odzyskane

Holandia – ucieczka przed depresją

Wyjeżdżamy rano z Larochette w Luksemburgu i ciśniemy prosto na północ, przez Belgię do Holandii. Chociaż 1/4 terytorium tego państwa znajduje się w stanie depresji, to my szukamy tam gór. Zatrzymujemy się dopiero na wierzchołku Vaalserberg. To właśnie tam znajduje się najwyżej położony punkt na terytorium Holandii. Jego wysokość to 322 m n.p.m.

Szczyt ten uznaję już teraz za najbardziej przyjazny dzieciom ze wszystkich w Koronie Europy! Znajduje się na nim duży plac zabaw, można też tam poganiać się w labiryncie lub zjeść dobre frytki. 20 metrów od miejsca oznaczającego najwyższy punkt znajduje się trójstyk granic Holandii, Belgii i Niemiec.

Belgia – 7-tysięcznik w centrum Europy

Następnym naszym celem tego dnia jest czubek Belgii. I choć godzinę temu w Holandii Michał biegał i bawił się na najwyżej położonym placu zabaw w całym kraju, to teraz nie zamierza nawet nosa wychylić z auta. Nie dziwię się, bo temperatura na zewnątrz to jakieś 11 stopni, na dodatek paskudnie wieje. A i widoki... no takie jak na parkingu pod restauracją przy asfaltówce. Szczerze powiedziawszy spodziewałem się większych emocji po 7-tysięczniku. Ale zaraz zaraz... ktoś w programie Paint przecinek przesunął! Oszukano nas! W dodatku Signal de Botrange w rzeczywistości nie dobija nawet 700 m n.p.m. Lecz sztucznie podwyższono go usypując dodatkowe 6 metrów. Nic to, punkt zaliczony a my możemy udać się po cel nr 3 na dzisiaj –

najwyższy szczyt Luksemburga. I tam to dopiero będzie akcja.

Luksemburg – skutki braku aklimatyzacji

Wcześniej na nawigacji ustawiłem punkt, w którym zdawało mi się znajdziemy nasz cel. Jednak kiedy tam dotarliśmy coś mi nie pasowało. Niby wysokość się zgadza, niby to ten cały Buurgplatz, którego szukałem, ale miał tu być w trawie kamień pomalowany na biało i go nie widzę. W dodatku Marysia puszcza pawia. Nie jestem przesądny, ale to musi coś znaczyć. Wykorzystuję koło ratunkowe i dzwonię do siostry. Asia cierpliwie szuka informacji i czyta mi na głos. Dzięki jej wskazówkom docieramy na pobliskie wzgórze. Przy największych krzakach znajduję biały punkt. Aga mi nie wierzy, „to naprawdę to?!”. Pytam syna, czy wyjdzie zrobić sobie zdjęcie na szczycie. On jednoznacznie oznajmia mi, że nie jest zainteresowany. Tymczasem Marysia zaczyna cisnąć kupę. Tak, to musi być ten najwyższy punkt, a jej reakcja jest zapewne spowodowana wysokością. Zdobyliśmy Kneiff – 560 m n.p.m.

Epilog – kolacja z księciem

Dojeżdżamy do Larochette na nasze pole kempingowe na oparach. Nie chodzi o benzynę, ale o Agi cierpliwość w zabawianiu dzieci na tylnym siedzeniu. Na dodatek tuż, tuż przed domem widzimy objazdy. Łamię zakaz i jadę na kemping przez pola (jesteśmy w Luksemburgu, więc jadę po równiutkim asfalcie, tyle, że jest wąsko, jak na dwa auta). Nie wiedziałem, że objazdy są z powodu przyjazdu książęcej pary. *Jak się okazało potem, Wielki Książę Duke Luksemburski, nie bacząc na swoje urodziny i obchody rocznicy niepodległości Luksemburga postanowił przyjechać do Larochette i wspólnie z nami uczcić zdobyte przez nas szczyty.* Na ogłoszeniach na polu kempingowym czytam: darmowe drinki i barbecue do godziny 21:30. Czyli ktoś mu podpowiedział, o której my się do łóżek kładziemy.

Niestety my już sobie odpuścimy tę fetę ze względu na dzieci. *Duke niemalże zrozpaczony, przyjmuje jeno z wdzięcznością życzenia urodzinowe i podziękowania, jakie mu sms-em wysłałem.*

Azaliż fatygował tu małżonkę, rad niechybnie, że nas razem poznają. Tudzież dzieci krzyczą, trza pieluchy przebrać. Na pewno zrozumie. A i nie omieszkam go do naszej Malezji zaprosić, jak będzie w okolicy. Na jajecznicę z najbardziej swojskich jajek, bo swoich.

PS. Na pamiątkę, co gazety w tym dniu piszą: „Not getting any rest on his official birthday, Grand Duke Henri is expected here at 6pm for a procession and vin d’honneur. The Grand Duke will be joined by his wife, Grand Duchess Maria Teresa. After the Grand Ducal couple leave Larochette to join the festivities in Luxembourg city, the celebrations in the picturesque town are sure to turn more rambunctious.”

No byle by nie za grand głośno było, bo trza odpocząć po zdobyciu 3 grand szczytów Korony Europy jednego grand dnia. Michał dziś może się pochwalić w sumie 4-ma z listy ([pierwsza była Litwa](#)), a Marysia tymi właśnie trzema. Może zdążę z nimi połowę Korony zrobić zanim powiedzą stanowczo, że górami to oni zainteresowani nie są i lepiej żebym telewizor do domu kupił. Na razie nie mają wiele do powiedzenia. Właściwie, to jeszcze nie umieją mówić.

Ałfą Romeo na Biskupią Kopę

W weekend Michał namówił mnie na szybki wypad na Biskupią Kopę. Co więcej – wyjazd miał być męski, czyli bez udziału osób, których imiona kończą się na literę „a”. I tak też się stało – w podróż udał się ojciec z synem. A ponieważ mamy w tamtej okolicy zaplecze, to uknułem niecny plan, ale o tym później.

W piątek wieczorem bez ociągania ruszyliśmy samochodem na południe.

W sobotę o 6:30 pobudka, śniadanie i jedziemy do Czech, by na szlak wyjść o 8-mej. Na miejscu Michał zgarnia z ziemi patyczka i zasuwa na górę, co już jest sukcesem, bo obrał dobry kierunek. Podejście czeka nas krótkie, lecz strome. Mimo to mały chce iść sam, zresztą z nosidełka nie skorzysta wcale na tym wyjeździe. Czasami pacnie na tyłek, czasem do przodu. Za każdym razem gdy upada mówi *BAM!*. W pewnym momencie idziemy lasem bo droga jest zabłocona. Michał odgarnia patyczkiem gałązki jagód, bo go w oczy kłują. Dla mnie to wyjątkowa sytuacja, bo nigdy wcześniej nie byłem w górach z kimś, kto ma jagody na wysokości oczu.



Michałek w drodze na Biskupią Kopę

Akcja w dalszej części rozgrywała się statycznie-dynamicznie i do końca nie było wiadomo czy cel zostanie osiągnięty. Momenty zawahania miewaliśmy obaj. Niech to, jak ciężkie to było przedsięwzięcie potwierdzi fakt, że pokonanie dystansu 1,7km zabrało nam niemal 1,5 godziny. To słabe tempo mogło być spowodowane samochodzikiem, jaki ze sobą wzięliśmy, a była to Alfa Romeo (z zepsutym napędem).

Częściowo samemu, częściowo na rękach Michał mimo wszystko

zdobywa swoją kolejną górę – Biskupią Kopę – o wysokości 890 m n.p.m.

Ze względu na wczesną porę podczas wejścia byliśmy na szlaku zupełnie sami. A w zejściu Michałek wybrał najładniejszą turystkę i z obojętną miną pomachał do niej. A ta, rozradowana natychmiast do niego podeszła, zagadała i dała lizaczka. Próbowałem tego potem na innych turystkach ale mi nie wychodziło. Nie wiem jak on to robi.

Rady dla rodziców podczas podobnych wyjazdów z niespełna 2 letnim dzieckiem:

1. Jeżeli jest początek kwietnia, wiaterek i 4 stopnie to weźcie dziecku i sobie rękawiczki (był bunt gdy chciałem założyć mu w zamian zapasowe skarpetki).
2. Nie dawajcie mu czekolady w trakcie marszu jeśli nie chcecie by był od ust w dół zalany brązowym ślinotokiem.
3. Najlepiej w wcale nie dawajcie mu czekolady, ponieważ dziecko urządza bunty (nie wstanę jak mi nie dasz kolejnej kostki).
4. Zabierzcie mniej awaryjne auto niż Alfa.



Na szczycie

Po odwiezieniu Michałka do cioci zaliczyliśmy jeszcze niezłą imprezę, gdzie było mnóstwo dziewczyn. Jak zsumowałem wiek ich wszystkich oraz mój i Michałka to wyszedł remis. A potem... ruszyłem z powrotem w Góry Opawskie. Z hamakiem i twarzą Bear Gryllsa przed oczami. Ale o tym [w następnej historii](#).

Korona Sudetów na śpiąco

Trudno w dzisiejszych czasach znaleźć wyzwanie, którego nikt się wcześniej nie podjął. Zdobywanie szczytów nocą, tyłem, rowerem, albo nocą na rowerze, w dodatku jadąc tyłem – to już było. Nawet najbardziej szalone przedsięwzięcie upada, gdy dowiadujemy się w trakcie, że ktoś już to zrobił.

Dlatego tym razem upewniliśmy się, że to, czego się podjęliśmy to pomysł całkowicie unikatowy. Projekt ten nie ma jeszcze oficjalnej nazwy ale moja rola ogranicza się w nim tylko do roli szeryfa. To, o co w tym projekcie chodzi, to:

zdobycie Korony Sudetów... na śpiąco.

A ponieważ na starość spać się chce coraz mniej, Michał postanowił nie zwlekać i z projektem wystartował w 7-mym tygodniu życia.

Na pierwszy strzał poszła Ślęza, praktycznie bez przygotowania. Poszło gładko a Michał spał twardo do samego szczytu. Celowo obrał na początek górę niewymagającą.



Drzemka na Ślęży

Zaledwie tydzień później, korzystając z aklimatyzacji Michał namówił nas na Wielką Sowę. Tym razem nie było tak łatwo jak poprzednio. Niemniej akcja zakończyła się sukcesem i przed ukończeniem 2 miesięcy w dorobku swoim maluch miał już 2 góry. Zresztą w środowisku o tej akcji było głośno. Jego starszy nieco kolega skomentował to następująco: „gu-gu-gu”, co doskonale opisywało napotkane przez nas trudności.



Michał śpi w drodze na Wielką Sowę

Zmagania na Wielkiej Sowie uwiadomiły nam, że rozsądnie będzie lepiej się przygotować do kolejnych wyzwań. Latem Michał namówił nas na trening w Alpach. Był to dla niego prawdziwy obóz kondycyjny. Przespał tam dziesiątki kilometrów alpejskich szlaków. Pokonywał wiszące mosty, strome zbocza, parokrotnie przekroczył barierę 2000 m n.p.m. – i ani razu się nie przebudził.



Podczas treningu w Wysokich Taurach
(Alpy)

Zainspirowani najnowszymi wydarzeniami transmitowanymi spod K2 na kolejną górę uderzyliśmy zimą. Wpierw odbyliśmy trening na Marii Śnieżnej, gdzie Michał żeby nie zmarznąć w tyłek musiał nauczyć się chodzić.



Pierwsze kroki w górach.
Mróz dobry na walkę z ospą

Następnie, już w stylu „na śpiocha” na celownik wzięliśmy kolejną górę z listy Korony Sudetów – Waligórę.

Na najwyższy szczyt Gór Kamiennych weszliśmy niespodziewanie, od tyłu. Zaskoczeni tym byli wszyscy, bo nic nie wskazywało na to, że się uda. Michał już na samym początku postanowił zmoczyć spodnie i buty, a na przebranie nic nie miał ze sobą. Potem okazało się, że szlak jest oblodzony i wybraliśmy na spacer inną drogę godząc się z tym, że Waligórę tym razem odpuścimy. Na jednym z rozdroży odbiliśmy jednak na wąską ścieżkę, która od zupełnie innej strony wyprowadziła nas pod kopułę szczytową. Tam nasza droga połączyła się z „normalnym” szlakiem i tym sposobem znaleźliśmy się na wierzchołku.



Waligóra – kolejna góra na śpiąco

Warto dodać, że na wyżej wymienionej górze była z nami jeszcze 5-cio miesięczna siostra Michałka. Nie udało mi się jej jednak uchwycić, gdyż przez całą drogę schowana była pod kurtką u mamy.

Te krótko opisane wydarzenia mają spełniać rolę swego rodzaju pamiętnika. Nie zamierzamy jednak spocząć na laurach i wkrótce mam nadzieję ukażą się kolejne odcinki z cyklu „Korona Sudetów na śpiocha”.

Dziku



Michał właśnie się przebudził i dowiedział, że szczyt, który zdobyliśmy to był Rocky Summit, a nie Broad Peak

Chłopczyk pod Wildspitze

– 23 VI –

Znów jedziemy z małym w Alpy. Michał ma teraz 14 miesięcy, czyli o 10 więcej niż ostatnio, gdy byliśmy w [Kals pod Grossglocknerem](#). Jest bardziej świadom otoczenia, a przede wszystkim już nie leży w gondoli, tylko siedzi przypięty pasami w spacerówce. To oznacza, że możemy wjeżdżać na wiszące mosty i biegać z wózkiem po szlakach i robić „brum brum” unosząc przednie koło i nie ma obaw, że młody wypadnie.

Oprócz możliwości powiększyła się też nasza załoga. Na tym wyjeździe są z nami dziadkowie Michałka oraz Dawid, Monika i Emilka. Ta ostatnia trójka odwiedziła nas również w zeszłym roku w Kals.

– 24 VI –

Po dotarciu do pensjonatu w Vent i rozpakowaniu się idziemy na spacer do Rofen. Asfaltem dochodzimy do celu na wys. 2014 m. Tam przechodzimy po wiszącym moście i wracamy do Vent szlakiem prowadzącym po drugiej stronie wypływającej z lodowca rzeki. Mamy piękną pogodę – bardzo ciepło i słonecznie. Korzystamy z niej i popołudniu idziemy na jeszcze jedną trasę. Tym razem

dochodzimy do wysokości ok. 1900 m na drodze dojazdowej z Vent do Stablein.

Po przeciwnej stronie doliny widzimy ośnieżone szczyty. Próbuje odgadnąć ich nazwy i wysokości ale nie zabraliśmy mapy. Wśród tych groźnych trzytysięczników są: Talleitspitze (3408), Schalfkogel (3540), Spiegelkogel (3426), Ramolkogel (3550) i kilka innych.



Dolina Rofental

– 25 VI –

Sprawdza się mało optymistyczna dla nas prognoza. Całą noc padało i rano też bezlitośnie leje. W pokoju jest ciemno, trzeba świecić światło. Czy tak będzie wyglądał cały dzień? Leżę koło spakowanego plecaka i czekam na cud, który następuje około godz. 10-tej. Nie słyszę szumu deszczu więc wyglądam za okno – faktycznie nie pada. Przystępujemy do akcji, której celem jest zdobycie wysokości 3 tysięcy metrów. Bez dzieci, za to z teściem, dla którego będzie to życiowy rekord wysokości.

Decydujemy się skorzystać z wyciągu krzesełkowego aby zyskać na czasie, bo pogoda jest bardzo niepewna. O 10:40 zeskakujemy w Stablein na wysokości 2356 m. Zaledwie po 1h40' marszu i łatwej wspinaczki stoimy pod krzyżem na szczycie Wildes Mannle o wysokości 3020m. Czas z drogowskazu skróciliśmy o 50'! Widzę w teściu potencjał, myślę już o innych szczytach, które są w jego zasięgu. Przed 15-tą jesteśmy z powrotem w pensjonacie.



W drodze na Wildes Mannle

Pogoda się poprawia, wychodzi słońce, więc idziemy na kolejny spacer. Tym razem całą rodziną przechodzimy urokliwą trasę zwaną Rund um Vent. Zaczyna się ona w miasteczku przy początku szlaku na Ramoljoch i idzie wzdłuż orograficznie prawego brzegu rzeki. Poniżej Vent przechodzi się mostkiem na brzeg lewy i drogą asfaltową wraca się do punktu wyjścia.

Jaby tego było mało z Agnieszka wybieramy się na jeszcze jeden rekonensans. Tym razem obieramy wspomniany już, stromy szlak w kierunku Ramoljoch i Ramolhaus. Mijamy przepiękne łączki i punkty widokowe. Wzdłuż szlaku można napotkać ławki. Co jakiś

czas podziwiamy pokrytą śniegiem, kształtną bryłę Similauna – górę, z którą wiąże się kilka istotnych dla mnie momentów. Górę, na którą wciąż nie wszedłem, choć opisywana jest jako oblegany przez tabuny turystów łatwy 3-tysięcznik.



Similaun

– 26 VI –

Pobudka o 3:20 i to nie z powodu dziecka, ale z powodu górującego nad doliną Oetztał szczytu – Wildspitze (3768). Punktualnie o godzinie 4-tej wychodzimy z Dawidem z pensjonatu w Vent na wysokości blisko 1900 m. Na okolicznych górach płoną jeszcze płomienie ułożone w wielkie krzyże. Od prawie stu lat raz do roku miejscowi rozpalają te symbole wierząc, że unikną dzięki temu wojen i nieszczęść. Może i nam wyjście w takim momencie przyniesie szczęście?



Wildspitze (3768 m)

W godzinę pokonujemy 550 m wysokości. Daliśmy sobie cel 12-tu godzin na całą akcję, ale już zaczyna nam kołatać w głowie, że można to zrobić szybciej. Po 2h od wyjścia jesteśmy już przy schronisku Breslauer Hutte (2844). Jest godzina 6-ta i jest to czas wyjścia na szczyt ekip, które spały w schronisku. W czasie, gdy my jemy i pijemy wszyscy już wyruszyli – w sumie ok. 25 osób. Mamy nadzieję, że jeśli zaraz wyjdziemy i utrzymamy tempo to uda nam się część ekip wyprzedzić. Nie tyle chodzi tu o wyścigi, co o uniknięcie korków w trudniejszych miejscach. Łykam jeszcze niemal symbolicznie ostatnią tabletkę antybiotyku i żegnam się z chorobą. Czuję się zdrowy i silny, czuję się jakbym miał już nigdy nie zachorować.

Powyżej schroniska mijamy tablicę upamiętniającą przewodnika a na niej napis: „Nie znasz dnia ani godziny, kiedy Bóg wezwie Cię do siebie”. Zgadza się, w górach ludzie giną, ale najczęściej ludzi umiera w biurach i przed telewizorami. Często jeszcze za życia.



W tle przełęcz Mitterkarjoch oraz szczyt Hinterer Brochkogel (3635 m)

Tymczasem my trzymamy się szlaku i po skalnych ścieżkach docieramy pod śnieżny żleb prowadzący na przełęcz Mitterkarjoch (3468). Już tu mamy za sobą te ekipy, które z niewiadomych względów opuściły ścieżkę i trawersowały zbocze powyżej nas. Wchodząc w żleb naliczyłem 10 osób pod ferratą, z czego 3 poszły dalej śniegiem a 2 wyprzedziliśmy gdy ci uzbrajali się w lonże. Przed nami wciąż było pięciu Czechów i szło im całkiem sprawnie. Dopiero na końcówce, gdzie odcinek stalowej liny schowany był pod śniegiem ekipa przed nami zablokowała nas na jakieś 10 minut. Po wejściu na przełęcz wiążemy się liną i wkraczamy na lodowiec. Od tego momentu jesteśmy już pierwszymi pretendentami do zdobycia szczytu. Omijając szczeliny docieramy do skał na grzbiecie prowadzącym na szczyt. Względnie łatwą wspinaczką (ostatnie 2 minuty nagrałem) zdobywamy drugi szczyt Austrii – Wildspitze.

Dokładnie o tej porze główna część ekipy wyrusza szlakiem do Martin Busch Hutte (2501). Jeśli ich zamierzenia by się powiodły padłoby kilka rekordów – nigdy wcześniej na takiej wysokości nie była ani 2-letnia Emilka, ani 14-miesięczny Michałek, ani babcia Michałka. Niestety ta karawana z wózkami zatrzymana została na wysokości ok. 2150 m. Jak się okazało, z powodu kamiennych lawin wytyczono „objazd” drogi normalnej. Niestety to obejście niebezpiecznego miejsca prowadziło stromą ścieżką w dół do nowego mostku a potem na drugą stronę rzeki. Szlak ten jest zupełnie nieprzystosowany dla dziecięcych wózków. Mimo to ekipa podejmuje się wyzwania – wózki lądują w krzakach a dzieci w nosidełkach. Wszyscy razem przekraczają rzekę i ruszają w górę skalną ścieżką. Ta prowadzi przez parę km do kolejnego mostu, którym można wrócić na właściwą drogę. Jest to jednak zbyt wymagający i niebezpieczny odcinek dla małych dzieci i kobiety w 6-tym miesiącu ciąży. Po pewnym czasie drużynka zatrzymuje się, Aga robi jeszcze rekonesans i gdy wraca zarządza odwrót. Całą eskapada zajęła im 5,5h w pełnym słońcu, więc gdy wychodzimy im naprzeciw widzimy zmęczone, ale jednocześnie zadowolone twarze.

A jak to się stało, że pomimo prowadzonej przez nas tego dnia akcji na Wildspitze byliśmy o tej porze na dole? Wróćmy na szczyt.



Dawid na ostatnich metrach

„GELOBT SEI GOTT SEIN SIND DIE GIPFEL DER BERGE” – Niech będzie błogosławiony Bóg, Jego są szczyty gór. Taki napis znajduje się na krzyżu i niech tak pozostanie jak jest tam napisane. Po kilku zdjęciach i chwili odpoczynku przechodzę granią na wierzchołek północny. Jest to śnieżna kopułka o wysokości 3765 m. Dawniej to ten szczyt był wyższy, ale obniżył się na skutek wytopienia pokrywy śnieżnej. Robię zdjęcie wierzchołka z krzyżem i wracam. Teraz dopiero spokojnie siadam, jem i piję. Dawid zastanawia się, jak mi powiedzieć, że i tak będziemy szli po grani na północ bo zejdziemy inną drogą. Około godziny 9:40 zaczynamy schodzić. Propozycja trawersowania grzbietu i zejścia na lodowiec stokiem z drugiej strony jest strzałem w dziesiątkę. Unikniemy dzięki temu mijanek z tymi wszystkimi, którzy wchodzi normalną drogą. Zatem podążamy śnieżną granią do najniższego punktu i stąd prosto na lodowiec w dół po stromym stoku – jednym z tych, co to się wydają być prawie pionowe, a gdyby zmierzyć to by się okazało, że nachylenie 45-ciu stopni nie przekracza.

Niemniej schodzimy twarzą do stoku, a na lodowcu wiążemy się liną i po rozmiękłym już od słońca śniegu wracamy na przełęcz Mitterkarjoch. Po drodze Dawid parokrotnie wpada nogą w ukrytą pod śniegiem szczelinę. W jednej z nich macha i wyczuwa pod spodem pustkę – oj, nieprzyjemnie byłoby wpaść i się zaklinować.



Wierzchołek południowy widoczny z wierzchołka północnego

Na przełęczy rozwiązujemy się, ściągamy raki a poniżej ferraty zdejmujemy z siebie uprząże, stuptuty, kaski i uzbrojeni w kijki pędzimy bez przystanku na dół. Punktualnie o 13-tej jesteśmy w miasteczku. 1960 mH w zejściu zajęło nam 3h20'. Tę samą wysokość do góry pokonaliśmy w 5h15'. Doliczając czas spędzony na szczycie w sumie akcja trwała 9h. To znacznie szybciej, niż planowaliśmy i dlatego pomimo, że brakowało dreszczyku z powodu samego zdobycia wierzchołka to czuję tego dnia dużą satysfakcję.



Na szczycie

– 27 VI –

Z rana udajemy się w dolinę Rofental, jednak gdy po mniej jak pół godziny doszliśmy do Rofen (2014) zaczyna padać. Podobnie jak pierwszego dnia przechodzimy przez wiszący most i wracamy do domu. Tego dnia podejmujemy jeszcze jedną próbę aktywności.

Podjeżdżamy do miasteczka Obergurgl i chcemy przejść się doliną Gurglertal. Niestety i tym razem deszcz krzyżuje nam plany. Jednak dzięki temu krótkiemu wypadowi poznałem kolejne miejsce otoczone trzytysięcznikami.



Most w Rofen

– 28 VI –

Prognozy są nieubłagane – cały dzień możliwe opady. W takim wypadku odpadają długie trasy z dziećmi. Podejmiemy się z Dawidem mimo to próby zdobycia okolicznych szczytów. Wychodzimy o 6:30 w lekkim deszczu i kierujemy się na Ramoljoch (3186). Szlak najpierw prowadzi lasem stromo do góry a potem wychodzi na Ramolalm (2218) już ponad linią drzew. Dotąd jest to niezwykle malownicza trasa. Drzewa są pokryte porostami a wzdłuż szlaku rosną kwiaty – wygląda to jak obraz malowany. A powyżej... wychodzi się na morenę lodowca. Póki jest w miarę obrosnięta trawą to jeszcze to jakoś wygląda, ale potem gruzowiska skalne robią ponure wrażenie, szczególnie w

taką pogodę.



Tęcza i gruzowisko

Warte odnotowania jest to, że jakieś 2h drogi od Vent (zdrowym tempem) na lewo od szlaku jest przygotowana platforma pod namiot z dostępem do wody [EDIT 2022: W lipcu 2022 roku ani śladu po ciekach wodnych, jedyna woda to ta ze strumienia wypływającego bezpośrednio z oczka wodnego utworzonego przy cofającym się jezorze lodowca, wysokość w lipcu 2022 to około 3000 m n.p.m.]. Natomiast około 10 minut później jest większy placzyk na co najmniej dwa namioty, jednak tam już nie widziałem cieków wodnych. Przy wspomnianym placyku znajduje się drogowskaz i odbicie szlaku 3h na Martin Busch Hutte (2501). Na przełęcz Ramoljoch wchodzimy po 3,5h z Vent. Przez ostatnie 50 m przewyższenia za plecami słyszymy grzmoty więc cel jest jeden – schować się w schronisku po drugiej stronie przełęczy. Do Ramolhaus (3006) wchodzimy nieco przemoczeni po 25' od przełęczy. Okazuje się, że schronisko otwierają dopiero za parę dni (od 1-go lipca), ale młoda, miła dziewczyna

zaprasza nas do środka. Pyta czy chcemy herbaty (nie), kawy (nie), coś do zjedzenia? Nie! My z Polski jesteśmy – my wszystko ze sobą nosimy! – tłumaczy Dawid.



Ramolhaus

Po godzinie przejaśnia się nieco, więc idziemy z powrotem na przełęcz. Do szczytu Hinter Spiegelkogel (3426) mamy z godzinę drogi, do Ramolkogel (3550) może ze dwie. Jednak dziś na żaden szczyt nie wejdziemy. Znowu pada, dookoła kłębią się chmury, a my nie mamy ochoty w takich warunkach biegać po tym gruzowisku. Ruszamy z powrotem do Vent, gdzie docieramy już o 14-tej. Ze schroniska do miasta wróciliśmy w 2,5h (wg tabliczki 4h). Mnie po głowie obija się słowo, jakim Dawid opisał kamienistą część trasy – ohydna. Rzeczywiście ten rejon należy do tych, które się „sypią”, a miejscowi dla zachowania względnego bezpieczeństwa co jakiś czas muszą wytyczać nowy szlak. Niemniej jestem przekonany, że przy ładnej pogodzie można by urządzić sobie tu świetne pole do zdobywania wysokogórskiego doświadczenia.



Hinter Spiegelkogel (3426)

– 29 VI –

Dziś wychodzimy na spacer wokół Vent. Między innymi zwiedzamy z małym na plecach miejsce zwane Hohler Stein (2050). Jest ono oddalone zaledwie 20 minut od granicy miasteczka i wiedzie zboczem góry Talleitspitze (3408). Góry, która króluje ponad Vent. Na jej szczycie znajduje się krzyż, a w nim czerwony kamień, przez który zimą, jedynie raz do roku słońce pada w taki sposób, że choć w dole jest cień to z miasteczka widać czerwone światło ze szczytu. Zaś Hohler Stein to wielki głaz, który uznawany jest za schronienie dla myśliwych sprzed tysięcy lat. Jest ono oddalone w linii prostej zaledwie 10 km od miejsca, gdzie odnaleziono zwłoki Oetziego. O pomniku ustawionym niedaleko miejsca odnalezienia zwłok wspomniałem w relacji „[Dziku – człowiek z Similaun](#)„. Wspomniany Oetzi żył ponad 3000 lat przed naszą erą a jego doskonale zachowane zwłoki odnalazła para turystów z Niemiec w roku 1991. Przyczyniło się to do wielu kontrowersji, m. in. do sporu

między Austrią i Włochami, gdyż zwłoki znaleziono w pasie granicznym. Również Helmut Simon, który to właśnie wraz z żoną natrafił na znalezisko, sądził się przez wiele lat by uzyskać z tego powodu jakąś gratyfikację. Paradoksalnie nawet od niego zażądano zapłaty za wstęp do muzeum w Bolzano, gdzie można obejrzeć zwłoki Oetziego. W 2004 roku, wkrótce po tym, jak Simon wygrał proces o sumę 150 tys. € nagrody za znalezisko, on sam zginął podczas samotnej górskiej wspinaczki.

Wieczorem ruszamy w drogę powrotną do domu. O charakterze tego wyjazdu zdecydowała głównie pogoda, tak jak to zwykle bywa. Pod nią dopasowaliśmy plany i pomimo, że po raz czwarty będąc w Vent znów nie wszedłem na Similaun to i tak uważam, że te spędzone tam parę dni dobrze wykorzystaliśmy.

Dziku



Der kleiner Bergsteiger



Młody w bolidzie



Kebnekaise zimą, czyli Szwecja na zielono

Prolog

Sobota rano, lotnisko we Wrocławiu. Na nim Dzicza rodzinka w komplecie: Aga, Dzik i „Młody obywatel świata”. Po chwili przyjeżdża też Asia, którą Wizzair na tym wyjeździe uczyni przyrodnią matką Michałka. Dzik i Asia targają po pełnym worze mieszczącym się w przepisowych 23 kg. W worach znajdują się rakiety śnieżne i inne sprzęty potrzebne za kołem polarnym. Do tego wszyscy mają po bagażu podręcznym. Łącznie z Michałkiem, którego możnaby do tego jego bagażu całego zmieścić. Na odprawie ochrona pyta Agi, czy w bagażu dziecka jest scyzoryk. Aga zaprzecza, a Pan celnik odgarnie pieluchy i wyciąga Victorinox. Michałek nic nie mówi, patrzy w dal udając, że nic o nożu nie wie.

Misja Kebnekaise

W Szwecji witają nas Rafał i Iwonka – współwinowajcy całego zamieszania, bo choć Dzik o wyjeździe do Kiruny i wejściu zimą na Kebnekaise od wielu lat myślał, to jednak nic w tym kierunku nie robił – jeno pogodę sprawdzał. Jak już Asia o to samo zagadała to było prawie pewne, że coś z tego pomysłu wypali. Asia to taka osoba, przy której realizacja pomysłów jakoś łatwiej przychodzi (i umie dobrze wyszukiwać tanie loty). Trzeci członek misji „Kebnekaise” to wspomniany Rafał, którego chwilowa emigracja to znak, że jest to odpowiedni

moment na takie przedsięwzięcie.

Na najbliższy tydzień Aga i Michałek zostają u Iwonki, gdzie rozwinię się jednostronna przyjaźń między małym człowieczkiem i dużym psem – bokserem.



Nasza trójka już następnego dnia leci za Koło Polarne – do Kiruny. Przed odlotem samolot jest pokrywany jakimś środkiem, prawdopodobnie coś na niskie temperatury panujące na północy. Z samolotu podziwiamy zimowy krajobraz: wielkie pływające kry, zamrożone jeziora z torami do testowania samochodów, ośnieżone góry. Po ok. 1,5 h lądujemy na ośnieżonym lotnisku w Kirunie. Zupełnie biała płyta i stojący na niej samolot

zasługuje na selfie. Następny etap to autobus z lotniska do miasta. Płacimy za niego milion szwedzkich pesos, po czym po 10 minutach jazdy wysiadamy, bo zobaczyliśmy centrum handlowe. Jeszcze wszystkich sklepów nie zdążyli otworzyć a już im się ładują galerianki z Polski. Co nas tak na te zakupy pognało? Otóż gaz do palników trzeba kupić. Tak, żeby potem śniegu natopić i mieć co jeść i pić.



Ogrzać się na zapas

Kupujemy 5 kartuszy (zużyjemy niecałe 2) i na nogach przechodzimy resztę trasy do miasta. Dokładnie tą samą trasą, którą przejechał wcześniej autobus, który na własne żądanie opuściliśmy. Wszędzie dookoła leżą góry śniegu a mi przychodzi do głowy obraz widziany we Wrocławiu – dwójka dzieci z sankami na brudnym trawniku pokrytym grudami błota pośniegowego, w dodatku tuż przy 3-pasmowej ulicy.

Do odjazdu autobusu do Nikkaluokty mamy kilka godzin. Rozkładamy się w Centrum Kultury w rynku. Jest ciepło, jest

toaleta, jest WIFI. Trzeba się nakorzystać bo wieczorem będziemy już w namiocie topić lód na herbatę. Więc Rafał korzysta z grzejników, żeby wysuszyć plecak (podczas lotu wylała się w worze woda z przebitej butelki). Ja korzystam z toalety – na zapas. Asia standardowo korzysta z WIFI. Ona kiedyś napisze przewodnik – „Szlakiem darmowych WIFI na dalekiej północy”.



Kiruna

Wykorzystujemy ten czas również do poznania historii miasta i zwiedzenia drewnianego kościoła. W środku jakoś inaczej – rzeźby i ołtarz w drewnie, brak zdobień, złocień. Na ołtarzu wielki obraz przedstawiający łąki i las oświetlone przez słońce. Siły natury budzą tu na północy respekt. Trzeba się w ten trudny klimat wpasować, nie ma sensu z tym walczyć. Dlatego tutejsze dzieci od urodzenia spędzają czas na powietrzu, jeżdżą z rodzicami na nartach lub skuterami śnieżnymi w doczepionych przyczepkach. Dziś w Polsce w święta

dzieci najpierw obrzucają się co najwyżej starymi liśćmi, a potem dopiero obejrzą prawdziwy śnieg w tv – w filmie „Kevin sam w domu”.

Na koniec wizyty w kościele mamy okazję zobaczyć, jak wygląda tutaj obrzęd chrztu takiego kiruńskiego bobasa. Potem wracamy do centrum. Nasze plecaki stoją nietknięte. Wszystkie bagaże zostawiliśmy podsunięte pod ścianę w miejscu publicznym. Kto miałby nam je ruszyć i po co? Kradzież? Obok stoi komputer i drukarka. Na stoliku naklejona kartka: „Używaj tego komputera swobodnie, w budynku jest też darmowe WIFI. Jeśli potrzebujesz wydrukować bilet lub kartę pokładową, wyślij plik na podany adres email i wydrukujemy go dla Ciebie za darmo”.



Zorza polarna

Popołudniu mkniemy oblodzoną szosą w kierunku Nikkaluokty. W autokarze tylko nasza trójka. Kierowca nie przejmuje się warunkami na jezdni i pędzi jak szalony. Przyjeżdżamy o czasie

i po przepakowaniu i założeniu rakiet – o 16:30 wyruszamy w długi marsz pod Kebnekaise. Już po 1,5h jesteśmy przy domkach nad jeziorem. Po ciemku rozkładamy namiot i chowamy się do śpiworów. Topimy śnieg, jemy obiad, pijemy herbatę. Robi się bardzo zimno. Do wyjścia z namiotu nie zachęca nas nawet zorza polarna. Robię niewyraźne zdjęcia wychylając jedynie głowę i stawiając aparat na plecaku.

Wydechana para gromadzi się nad naszymi głowami w postaci lodowych, zbitych w kupki igiełek, które opanowują strefy wokół głów oraz oklejają wiszące pod sufitem 3 pary okularów. Nie wiem jak te śnieżne twory fachowo nazwać więc będę na nie mówił białe kurzyki. Przypominają mi osady z sadzy na piecu, czyli w tym przypadku czarne kurzyki.



Zimny start

Temperaturę mierzymy dopiero koło 8-mej rano, już po wschodzie słońca. Wynosi ona -24 stopnie. Ostro na początek.

Po spakowaniu biwaku wchodzimy na jezioro. Mimo słońca nie

mogę rozgrzać stóp. W górach często kopię rakami o stok, żeby pobudzić krążenie, więc tu wpadam na podobny pomysł i kopię rakietami o podłoże. Szybko dokopuję się do twardego lodu. Kiedy parę godzin później wróci krążenie okaże się, że potłukłem sobie palce w jednej ze stóp. Uciążliwe, ale nie bardzo, więc dla pewności przy pakowaniu parę dni później sobie poprawiam: upuszczam rakiety na gołą stopę i w ten sposób osiągam cel i do dziś mam całkiem fioletowego paznokcia. Ta-dam!



Przy pięknej, bezwietrznej pogodzie już po paru godzinach szybkiego marszu wchodzimy do schroniska Kebnekaise Fjallstation. Tam napełniamy termosy wrzątkiem, jemy lifofy i ruszamy w dalszą drogę. Biwak rozkładamy dopiero przy wylocie żlebu prowadzącego na lodowiec pod Kebnekaise. Noc już zdecydowanie cieplejsza, ale nie na tyle, żeby ustawiać na kamieniach aparat i robić zdjęcia. Tzn. nie dla mnie, ale jest na to sposób – zmieniam ustawienia na aparacie i daję go Asi, która odważnie wychodzi ze śpiwora i robi piękne ujęcia

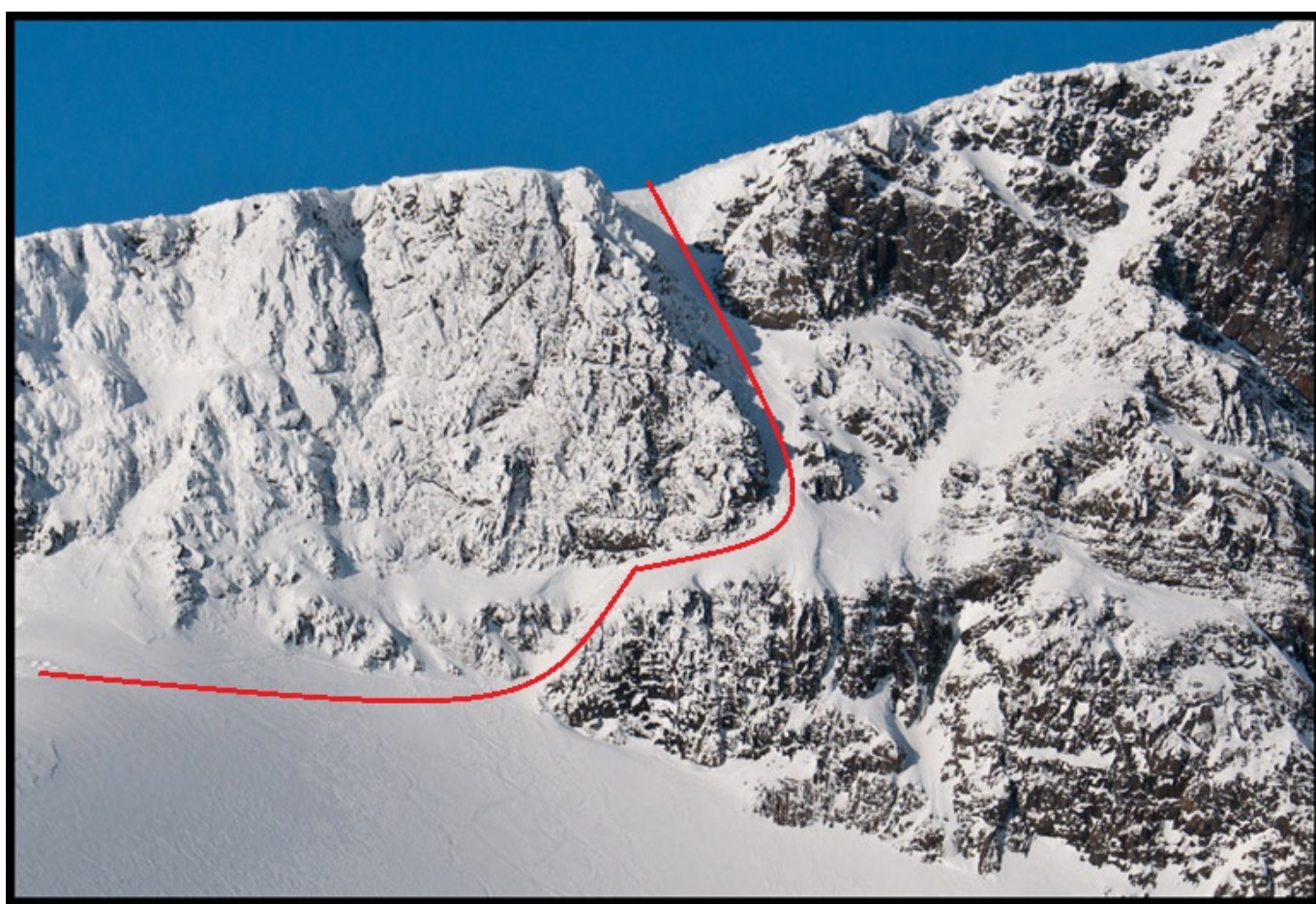
namiotu na tle gór i rozgwieżdżonego nieba.

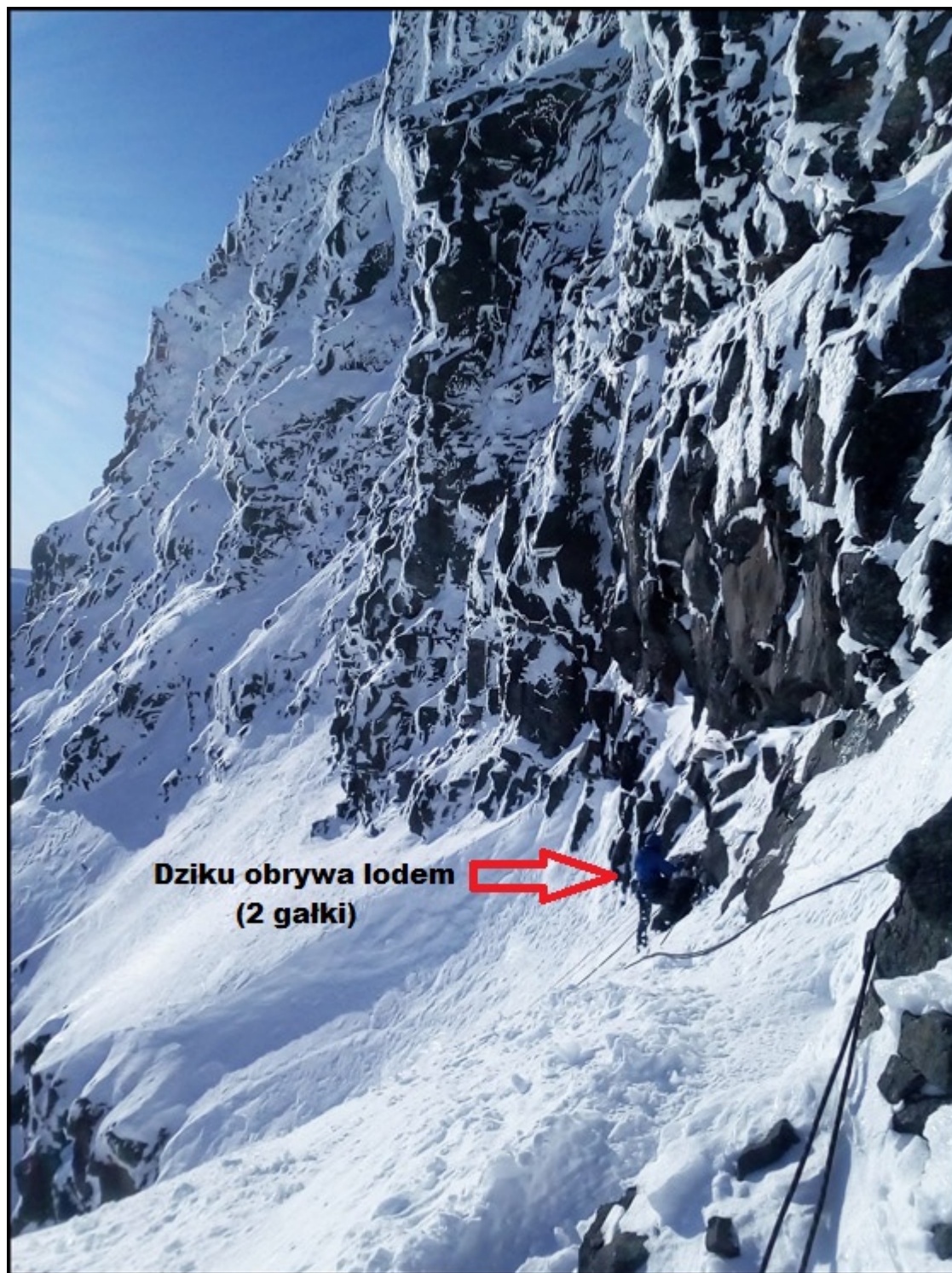


Aatak szczytowy

Rano koło 7-mej ruszamy żlebem w górę. Następnie przecinamy lodowiec i grzbietem podchodzimy pod znacznie krótszy, ale bardzo stromy żleb prowadzący na plateau pod szczytem. Tu robi się niebezpiecznie. Pewności siebie dodaje poręczówka założona

w ostatnich dniach przez przewodników. Na prowizorycznych lonżach podchodzimy do góry. Pokonując najbardziej stromy stopień spadają na nas kawałki zamrożonego śniegu. Dostaję jednym w głowę i żałuję, że nie mam kasku. Dochodzę do punktu i przymocuję linę. W tym czasie Rafał już mnie bezpiecznie minął i prze do góry. Kiedy asekuruję liną Asię spada mi prosto na ręce zamrożona bryła wielkości głowy. Adrenalina skacze. Asia przechodzi trudność i szybko opuszczamy to miejsce. Dalej po stopniach wybitych w stromym śniegu wgramolimy się do wylotu żlebu.





Kebnekaise

Wędrując po plateau dochodzimy do jednej, a potem drugiej chatki. Nie czas teraz na odpoczynek. Rafał już zmierza w kierunku śnieżnej, niepozornej kopułki i pierwszy staje na szczycie. Zaraz potem dołączam ja z Asią. W oddali jeszcze efektowniej prezentuje się północny wierzchołek. Asia wraca do chatki a my idziemy granią dalej. Ja już tu raz 8 lat temu pod

szczytem byłem i zawróciłem może 300 metrów od południowego wierzchołka, więc teraz żadnemu z nich nie odpuszczę. Grzech by to był – przy takiej pogodzie.



Bez problemu pokonujemy eksponowaną z jednej strony grań i po 20 minutach robimy sobie zdjęcia na tylko odrobinę niższym wierzchołku północnym. Wracając mądrzę się przed Rafałem i tłumaczę jak się po grani chodzi. Jak się tak rozwodzę to schodzę z wydeptanej ścieżki i widzę nagle przed sobą wcięcie w grani. Jeśli zrobiłbym jeszcze parę kroków spadłbym w parusetmetrowe urwisko. Pokora, pokora i jeszcze raz pokora. W chatce Asia już gotuje śnieg na liofa. Najpierw się posilimy, a dopiero potem zaczniemy schodzić do wylotu żlebu. Nie śpieszymy się, tym bardziej, że wymagana jest koncentracja. Ubezpieczając się lonżykami i dodatkowo związani liną schodzimy bezpiecznie na dół. Teraz to już tylko długi spacer do namiotu. Próbuję zjechać na tyłku, ale jest za małe nachylenie... ach! Gdybym miał jabłuszko!



Zwiady

Na drugi dzień podchodzimy z Asią pod Tuolpagorni. Dochodzimy do skalnego stopnia i zaglądamy na lewo wychylając się zza skał. Przechodzą mnie dreszcze, bo właśnie patrzę w najbardziej stromą i wysoką ścianę w jaką miałem okazję dotychczas spojrzeć. Czuję, że jest to limit, że nie warto więcej ryzykować. Dane nam było otrzymać od natury piękny dar w postaci doskonałych warunków podczas wejścia na Kebnekaise. To nie jest tu takie oczywiste, bo przez większość dni panuje tu zachmurzenie. Zimą do tego dochodzą niskie temperatury, duże opady śniegu, brak widoczności i silny wiatr. My trafiliśmy w ciemno mając jedynie 4 dni na całość przedsięwzięcia. Stan szlaku przed naszym przyjazdem i prognozy po naszym wyjeździe mówiły jedno – trafiliśmy tak idealnie jak to tylko było możliwe. Zważywszy, że Szwecja była ostatnią luką i „żółtą plamą” na mojej liście wysokiej Korony Europy było to piękne ukoronowanie kontynuowanej bez wytchnienia pasji.



Wracając do ramienia Toulpagorni, na którym się znajdujemy – w dole widzimy kropkę. To Rafał, który pożyczył ze schroniska narty. Czekając aż do nas podejdzie wydeptujemy na zboczu wielkiego, uśmiechniętego ludzika. Rafał zjeżdża a my schodzimy do namiotu. Zwijamy biwak i odwiedzając na krótko schronisko maszerujemy w padającym śniegu dalej. Jeszcze tego samego dnia, o zmroku, stajemy przy promach. Namiot rozkładamy dokładnie w tym samym miejscu co pierwszej nocy. Jest jednak cieplej, myślę, że z paręnaście stopni poniżej zera. Rano ustawiam aparat i... Asia wychodzi z nim na zewnątrz porobić zdjęcia biwaku ze wschodzącym słońcem w tle.



Powrót

Po półtorej godzinie marszu jesteśmy w Nikkaluokta. Żegnamy się ze szlakiem na Kebnekaise, oglądając go ze wzgórza z kaplicą. Potem autobusem jedziemy do Kiruny. Jeszcze szybki, spontaniczny wypad do hotelu lodowego, do którego jednak nie wchodzimy ze względu na pośpiech i ceny biletów. Popołudniu wracamy do Kiruny i idziemy na pociąg. Przed nami 18h podróży, z której zdecydowaną większość prześpiemy. Na stacji w Kopping witają nas Aga, Iwonka i mały Michałek. Na drugi dzień powrót samolotem do Polski. Koniec przygody. Pozostają zdjęcia i wspomnienia jak ze snu.

Dziku









Niemowlak pod Grossglocknerem

Cel – Wysokie Taury z niemowlakiem

Kiedy – wrzesień 2016

Kto – Dziku & Aga & Michałek

Tekst – Dziku

Zdjęcia – Dziku

Z niemowlakiem w Alpy?

Czemu nie. Tym bardziej, że odpowiedź na pytanie z tytułu znajduje się w poniższym artykule.

O tym, czy pojedziemy z małym w Alpy zastanawialiśmy się już wtedy, jak był w brzuchu. Właściwie to „była”, bo w tamtym czasie przekonani byliśmy, że to dziewczynka będzie. Nawet imię z literek Aga na ścianie powiesiła: Blanka. Jakżeby inaczej, skoro ten mały pasażer w pierwszych tygodniach życia zaliczył z nami Mont Blanc na gapę. Jak się już po urodzeniu okazało, że to syn, to z tych literek próbwaliśmy coś męskiego ułożyć. Wyszło nam np. Baklan, ale brzmiało zupełnie do bani. Wyszły literki poszły na strych i tam poczekają na córę. Imię Bianco (wchodziliśmy na MB od włoskiej strony) też nie przeszło głosowania. Nie spodobał się również ani Everest ani Parbat (wtedy córka dostałaby imię Nanga). I tak – kończąc już ten długi wstęp – stało się, że syn będzie miał na imię Michał.



Sobota poranek – szybki marsz



Sobota poranek – szybki marsz



Sobota przed południem – wspinaczka



Sobota koło południa – grzybobranie



Sobota popołudnie – przez pole do Międzygórza i z powrotem



Niedziela przed południem – w drodze na Czarną Górę



Niedziela południe – wracamy z Czarnej Góry



Niedziela popołudnie – jesteście pod Biskupią Kopą



Niedziela popołudnie – buty odzyskane

Dziecko do wyjazdu przygotowywaliśmy już wcześniej. A właściwie to bardziej siebie, niż dziecko. Etap ciąży się nie

liczy. Zresztą te parę 4-tysięczników z lipca i sierpnia było zdobywane w nieświadomości, ilu nas tam naprawdę wchodzi. Przypominam sobie mój tekst do Grześka, kiedy to Aga zasnęła na kamieniu na podejściu na Mount Pelvoux (po zejściu z Barre des Ecrins i Dome de Neige).

– Grzechu, ja z nią tyle po górach chodzę, ale takiego spadku sił to u niej nie pamiętam...

Gdy już po powrocie zostaliśmy uświadomieni, stwierdziliśmy, że młody będzie miał dożywotnią aklimatyzację. Jak Obelix, co to za młodu wpadł do gara.

Co z faktycznymi przygotowaniem? Na pierwszy strzał, z okazji ukończenia przez Michała 4-go tygodnia poszła Ślęza. Dobry test dla logistycznych rozwiązań. Wjazd wózkiem, zejście w chuście. Poszło gładko, dlatego tydzień później za cel obraliśmy Wielką Sowę. Tu trzeba było wsparcia. Szczególnie początkowy odcinek – kamienisty i stromy – wymagał pomocy Pawła. W takich miejscach wózek we dwójkę przenosiliśmy.

Wiedzieliśmy już, że nie ma problemu na szlakach, o ile za dużo kamieni nie ma. Gładko też idzie podczas transportu autem. Przynajmniej do tych 2 godzin w jedną stronę. Ale co będzie, kiedy trzeba będzie jechać godzin 11? Aby to sprawdzić udaliśmy się na urlop na Mazury. I znów Michałek doskonale zniósł podróż, a podczas niej karmienie i przewijanie na parkingach. To nas dodatkowo zachęciło, żeby zabrać go na najwyższe wzniesienie na Litwie. To była ta jednodniowa wycieczka, którą króciółko opisałem [tutaj](#).

Wraz z końcem sierpnia byliśmy gotowi skorzystać z dokonanej (znacznie wcześniej) rezerwacji w pensjonacie w Kals am Großglockner. Było to stresujące przedsięwzięcie, ponieważ do tej pory sypialiśmy w namiocie na lodowcu, a teraz mieliśmy mieć pokój z łóżkiem. Nie mieliśmy pojęcia, czy sobie z tym poradzimy.

Podróż w tamtą stronę podzieliliśmy na 2 części, bo była to doskonała okazja, żeby odwiedzić przyjaciół pod Monachium. Na

drugi dzień od wyjazdu z Polski zameldowaliśmy się w dzielnicy Glor w Kals. Już sami właściciele okazali zaskoczenie (nie)wielkością bobasa. On już wtedy przecież całe 4 miesiące miał skończone. Takich zaskoczonych ludzi, szczególnie na szlakach, jak się możecie domyślać, spotkamy jeszcze wielu. Wrzuciliśmy graty do pokoju i jeszcze popołudniu ruszyliśmy szlakiem w kierunku Lucknerhaus. Tego dnia dotarliśmy do wysokości ponad 1700 metrów i zawróciliśmy. Już wiemy co chcieliśmy wiedzieć – na pewno da się.

Poniżej opiszę w formie relacji kilka tras, pięknych widokowo, jednocześnie dostępnych dla wózków.

01.09

Kals (1325), Großdorf (1364), Taurer (1500) – Wycieczki między tymi miejscami są o charakterze mieszanym – przyrodniczo-miejskim, są dobre na rozruch. Trasa 38 jest już bardziej dzika i prowadzi z Glor (1385) na Hängebrücke (1420). We wszystkich tych miejscach są bezpłatne parkingi.

02.09

Tego dnia udajemy się szlakiem nr 702B do Lucknerhaus. Masywna sylwetka Grossglocknera majaczy przed nami. Na wysokości niemal 2100 metrów decydujemy się zawrócić. Stroma, ale gładka, dojazdowa droga doprowadziłaby nas do Lucknerhutte, jednak odpuszczamy. I tak jesteśmy tym dniem w pełni usatysfakcjonowani.

03.09

Kolejnego dnia przyjeżdżają wspomniani już wcześniej Dawid, Monika i mała Emilka z Niemiec. Podczas, gdy ja z Dawidem wspinaliśmy się na okoliczny szczyt (historię opiszę osobno), dziewczyny z dziećmi w wózkach poszły zwiedzać dolinę Dorfertal. Aga twierdzi, że była to najpiękniejsza z dolin jakie odwiedziliśmy. Koniecznie trzeba zabrać ze sobą latarki, w pewnym miejscu przechodzi się przez tunel w skale długości paruset metrów. Oczywiście ominięcie go szlakiem na zboczu nie wchodzi w grę, kiedy turystkami są dwie karmiące matki

pchające wózki [komentarz Agi po przeczytaniu tego akapitu: „Tamtędy się da przejść, tylko, że jest wąsko, jest przepaść i na wózek leje się woda z wodospadu. Ogólnie do przebycia, szczególnie po karmieniu, kiedy dzieci śpią. Tylko, że nierówno, a w tunelu równiej więc zawróciłyśmy”]. Dodatkowo Aga poleca kawę mrożoną w Berger Alm.

04.09

Następnego dnia ruszyliśmy z wózkiem w kierunku Blauspitz. Auto zaparkowaliśmy przy żółtym domku powyżej kolejki. Miejsce to na mapie oznaczone jest jako Tembler (1420). Stąd dosyć stromo, dojazdową drogą dotarliśmy do Glocknerblick na wysokości 1944 m. Nieco powyżej granicy 2000m, na łące z krowami, wpadam na pomysł, by wysłać Agę na szczyt Baluspitz (2575). Do pokonania ma nieco ponad 500 metrów przewyższenia i musi to zrobić szybko. W momencie, kiedy zaraz po nakarmieniu dziecka rusza w górę zaczynam czuć strach. Rzadko tak miewam, ale jak tu być spokojnym, kiedy zostałem sam z dzieckiem. Bo ja się nie bałem o Agę, wiedziałem, że sobie poradzi. Ja się o siebie bałem. I to pewnie tym strachem ściągnąłem krowią klątwę. Najpierw podeszła do nas jedna krowa i zaczął się ocierać o drzewo, a kilka minut później z góry zaczęła galopować na nas druga. Wściekła krowa, szarżująca prosto na Dziką trzymającego małego Michałka na rękach. Używając pozostałej ręki i zębów zbierałem cały majdan – chustę, gondolkę, kocyk i zabawki i uciekałem do drogi. Zaniepokojony wydarzeniami, przypadkowy turysta pomógł mi się spakować do wózka. Chciałem jak najszybciej znaleźć się na dole, tym bardziej, że wiedziałem, że muszę jeszcze przejść jeden odcinek wśród krów. Na szczęście te były spokojniejsze i pomknąłem z wózkiem w stronę parkingu. Taktycznie starałem się jednak trzymać takie tempo, żeby Aga nas dogoniła, zanim mały zgłodnieje. Ostatecznie wszystko skończyło się szczęśliwie, Aga weszła na szczyt w ciągu jednej godziny (ponad 500 metrów!) i dogoniła nas na czas. Ja tymi krowami jeszcze potem nieco postraszę, bo żarty żartami, a to jest jednak pewne ryzyko, jak się dowiedziałem.

05.09

Na południe od Lienz znajduje się jezioro Tristacher See. Bardzo ładne miejsce, można się kąpać na strzeżonej plaży (w sezonie), jest też pole namiotowe. W tle Dolomity Lienzerskie. My zrobiliśmy sobie spacer wokół jeziora, pokarmiliśmy kaczki, których karmić nie wolno (za późno przeczytaliśmy kartkę) i zdecydowaliśmy się odwiedzić dolinę Debanttal. I ja tę dolinę gorąco polecam. Piękne widoki i możliwość podziwiania kształtnej sylwetki szczytu Glödis (3206). Dolina jest bardzo długa (16km!), ale dosyć daleko można dojechać autem. Parking znajduje się aż w miejscu nazwanym Seichenbrunn (1650). Stąd, już koniecznie na nogach, kierujemy się do Lienzerhütte. Nie dane nam było jednak tam dojść. Późna pora i niepewna pogoda coraz bardziej odbierały na pewność siebie. Jednak wiedzieliśmy, że do schroniska pozostał może jeden zakręt i jakieś 500 metrów, zatem Aga poszła na zwiad. I kiedy zobaczyłem, że Aga do mnie ze wspomnianego zakrętu macha, to pomyślałem, że widocznie mam do niej iść bo schronisko tuż tuż. Tylko... czemu ona tak macha i biegnie w moim kierunku? I wtedy słyszę: „KR000WY IDAAA!”. Więcej mi nie trzeba było słyszeć – w tył zwrot i rura na dół. I już wiedziałem, po co nam wózek do biegania – żeby przed krowami uciekać. Biegliśmy około kilometra, aż do małej osady na uboczu. Tam mieliśmy przynajmniej miejsce, żeby usunąć się z drogi. Ale te krowy cwańsze były i stanęły na naszej powrotnej drodze. Minął nas tylko autem pan, który jadąc zgonił z góry to stado. Jak się możecie domyślić – dziwnie na nas popatrzył.

06.09

Wczorajsza przygoda zakończyła się szczęśliwie. Zresztą, tak jak krowy bronią swoich młodych, tak pewnie Aga rozniosłaby całe stado, gdyby wyczuła, że jej Diczątko jest zagrożone. Co dziś? Zimno i deszcz! Cudownie! To pierwszy dzień, kiedy nasze nogi mogą odpocząć (no bo jak można pozowlić sobie na odpoczynek w górach, kiedy jest pogoda?). Leje okropnie, trochę nawet taki prawie śnieg z deszczem. Z balkonu podziwiamy piękną tęczę nad miasteczkiem.

07.09

Tego dnia o 5:30 wychodzę na okoliczny 3-tysięcznik. Ten wypad opiszę osobno, bo historia z tą górą będzie miała dalszy ciąg, zakończony morałem zresztą. Co z trasami wózkowymi na dziś? Aga za namową Pani Schnell podjeżdża do Oberlesach. Tu, na wysokości 1420 metrów jest prywatny, płatny parking [parking bezpłatny jest w Oberlesach również, ale niżej]. Płatność reguluje się, poprzez wrzucenie 3€ do bańki na mleko z napisem „Kasse – 3€/Tag – Danke”. Cena nie wygórowana delikatnie mówiąc, a jakby tego było mało, to jeszcze jakieś tajemne siły umieszczają za wycieraczką regionalną pocztówkę albo prospekt turystyczny. Stąd Aga wpycha wózek do chatki w Glorergartenalm (1804). Uroczne miejsce ze wspaniałym widokiem na Kals i okoliczne szczyty. Popołudniu dołączam do żony i dziecka. Dostaję się tam bezpośrednio z Glor – wspinając się szlakiem przez strome, zalesione zbocze. Po wypiciu kawy z zagotowanej na piecu górskiej wodzie (i oczywiście nakarmieniu Michała) udajemy się już wspólnie drogą do samochodu. Przy okazji „zaglądamy” w bok do doliny Lesachtal i już wiemy, że będzie ona naszym celem jeszcze podczas tego urlopu.

08.09

Tym razem ruszamy nieco dalej od domu. Najpierw podjeżdżamy samochodem do Erlsbach, u wylotu doliny Defereggental. Tam, na wysokości 1549 m. znajduje się przy szosie parking. Można podjechać jeszcze parę km dalej, do Oberhausalm (1768), wtedy po drodze mijamy Patscher Alm (1685) – jest to dokładnie to miejsce, z którego kiedyś przyatakowaliśmy [Hochgall i Barmer Spitze](#). Jednak ta trasa jest już płatna, a bilet kosztuje 6€. Tego dnia z wózkiem dotarliśmy do Seebachalm (1879) i postanowiliśmy zawrócić. Ale... wg mapy droga prowadzi znacznie dalej. Mija Jagdhausalmen (2009) po stronie austriackiej i wspina się na przełęcz Pass di Gola (2288) na granicy z Włochami. Następnie schodzi w dół, zagłębiając się w teren włoskich Dolomitów. Może jest to potencjalna trasa na kilkudniowy rajd z dzieckiem w wózku? Jeśli ktoś to sprawdzi to proszę o taką informację. Wracając wstąpiliśmy do

znajdującej się przy parkingu w Oberhausalm restauracji. Zamówiliśmy suty obiad składający się ze świni w kapuście i zaczęliśmy zajadać się na raty, bo Michałek domagając się uwagi konkurował ze świnia. Widząc to, właściciele postanowili się Małym zająć. Nosili go na rękach i rozmawiali z klientami, co bardzo ucieszyło tego naszego małego społecznika, Obywatela Świata. Po skończonym posiłku okazało się, że nie mamy pieniędzy, bo portfel został na dole w aucie. Ugadałem się, że zostawię żonę i dziecko jako zabezpieczenie i ruszyłem biegiem w dół. Niestety już po paru krokach dała o sobie znać w moim brzuchu świnia w kapuście. Nie tylko nie mogłem biec, otóż ja ledwo mogłem chodzić. Do tego potwornie zachciało mi się pić (w ramach oszczędności oczywiście posiłek zamówiliśmy „na sucho”). Życie uratowało mi zjeżdżające z góry starsze małżeństwo (a jakżeby inaczej, od tygodnia nie spotkaliśmy nikogo w wieku przedemerytalnym). Zabrali mnie na stopa i w ten sposób bardzo szybko znalazłem się na dole. Oczywiście wróciłem już samochodem, żeby nie prowokować świni do wyjścia z powrotem. Po drodze minąłem schodzącą żonę (z wózkiem), która wyswobodziła się z niewoli grożąc użyciem płaczącego dziecka. Szybko załatwiłem sprawę w restauracji (szczególnie głupio mi było, bo nie zapłaciliśmy rachunku mimo tak fachowej obsługi przy dziecku) i wracając zgarnąłem rodzinę do samochodu. Przygoda zakończona.

09.09

Ostatniego dnia znów udajemy się do Oberlesach. Parking, bańka na mleko, 3€/Tag, widokówka za wycieraczką itd. Tym jednak razem wchodzimy we wspomnianą wcześniej dolinę Lesachtal. Znów wybieramy dojazdową drogę i nią docieramy do Lesachalmhutte (1818). Po drodze mijamy uroczą kapliczkę, wokół niej kwiaty w donicach. Aga zastanawia się, kto o te kwiaty tutaj w górach tak dba. Czytamy powieszoną kartkę: „Jeśli kwiaty mają sucho, proszę podlać” – i to jest kwintesencja tego, co można by opisywać długo i różnymi słowami. Ta bańka z napisem „Kasse”, te kwiaty... to są spotykane tu na każdym kroku dowody, jak może funkcjonować społeczność, społeczeństwo, a może i cały naród.

Mimowolnie umysł podsuwa mi obrazy, jakby to wyglądało w Polsce. I wtedy źle mi się robi i myślę, czy to wina jakichś spapranych genów, czy historii, czy czego. Bo w takich miejscach raczej prędzej niż później pojawiłyby się te mordy wściekłe na cały świat, umazały sprayem słup i ścianę, spaliły śmietnik i zniszczyły z buta co dałoby się butem sięgnąć. Przecież to nic innego jak źle spożytkowana energia. I to taka energia, która wiele dobrego mogłaby zdziałać, gdyby nie to fatalne, negatywne zapętlenie. Ale to temat ponury, nie ma co go ciągnąć, tym bardziej, że pozytywnych perspektyw rozwiązania problemu póki co nie widać.

Przedstawiłem kilka tras, propozycji, gdzie można się udać z wózkiem dziecięcym. Nie każdym – o tym poniżej. I nie z każdym dzieckiem pewnie, ale ja nie wiem jak to jest z innymi, bo mam jedno. Sami sprawdźcie. My postawiliśmy na to, że Michał od urodzenia będzie poznawał świat, nawet zanim będzie miał cokolwiek do powiedzenia. I może dlatego tak dobrze to znosi?

Najbardziej istotna kwestia, jeśli chodzi o sprzęt, to oczywiście wózek. My zakupiliśmy Bob Revolution SE i powiem zupełnie szczerze – wciąż nie znalazłem wady. Pod każdym kątem uważam, że wózek jest doskonale przemyślany. Ale to nie jest blog o wózkach, więc daruję sobie szczegółowe opisy. Co dla nas najważniejsze – świetnie się spisuje na szlakach i podczas ucieczek przed krowami.

-END-

...coś się zaczyna

Cel – Litwa – Aukštasis kalnas – zdobyty

Kiedy – sierpień 2016

Kto – Dziku & Aga & Dzikczek

Tekst – Dziku

Zdjęcia – Dziku & Aga



Sobota poranek – szybki marsz



Sobota poranek – szybki marsz



Sobota przed południem – wspinaczka



Sobota koło południa – grzybobranie



Sobota popołudnie – przez pole do Międzygórza i z powrotem



Niedziela przed południem – w drodze na Czarną Górę



Niedziela południe – wracamy z Czarnej Góry



Niedziela popołudnie – jesteśmy pod Biskupią Kopą



Niedziela popołudnie – buty odzyskane

To już 5 lat, odkąd zwolniłem z Koroną Europy. Wynikało to z tego, że długa lista oczekujących gór skurczyła się. Inne projekty wyglądały bardziej zachęcająco. I tak, kiedy w 2011 roku poradziliśmy sobie z jednym z największych wyzwań – Narodną (zimną na Uralu Subpolarnym!), potem we wrześniu odhaczyliśmy Płw. Iberyjski i tempo zmalało drastycznie. Wcale nie oznacza to, że było nudno. Nie licząc powtórek na tfu tfu Gerlachu, to np. Śnieżka i Rysy z projektem Razem Na Szczyty były wyzwaniem. Prawdziwą przygodą była też powtórka Drogi Papieskiej na Monte Bianco. W międzyczasie do zdobyczy dołączył w 2014 jeden nowy szczyt – z „tzw. Państwa Islandzkiego”. Jednak wejście było mało spektakularne – w gęstej mgle z nosami w GPS-ie.

Dopiero 1-go sierpnia 2016 zdecydowaliśmy się na kolejną zdobycz – litewską Wysoką Górę. Całe imponujące 294 m n.p.m., ale to przecież wciąż część projektu. W dodatku w doborowym towarzystwie – małego Dziczka. I nie chodzi mi tu tylko o gumową zabawkę, która (od Kosowa 2008-go roku) towarzyszyła mi na szczytach Korony Europy. Zdjęcie z koszulką i hasłem „never stop exploring” (przypadek?) staje się mottem. Nic się nie kończy, coś się zaczyna. Przed nami kolejne przygody. Doszła tylko jeszcze jedna torba ze „szpejem”. A w niej pieluchy i inne niezbędne akcesoria. Duży bagażnik okazuje się świetnym zapleczem – kantyną, placem zabaw i sanitariatem. W głowie kotłują się już pomysły. Świat stoi otworem. Never stop exploring!

Dziku

– END –